



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 222

NISTY
OMIK I.

KAROL ROZYCKI



PAMIĘTNIK PUŁKU
JAZDY WOŁYŃSKIEJ
1831 R.



NAKŁADEM
CENTRALNEGO
BIURA
WYDAWNICTW
N.K.N.

PAMIĘTNIK PUŁKU JAZDY
WOŁYŃSKIEJ 1831 ROKU



BIBLIOTECZKA LEGIONISTY
T O M I K I.

POD REDAKCYĄ PROF. UNIW. JAGIEL.
DR. WACŁAWA TOKARZA

PAMIĘTNIK PUŁKU JAZDY
WOŁYŃSKIEJ 1831 ROKU

222

leg. 104

BIBLIOTECZKA LEGIONISTY TOMIK I.

K A R O L R Ó Ź Y C K I

PAMIĘTNIK PUŁKU
JAZDY WOŁYŃSKIEJ
1 8 3 1 R O K U

(Z MAPKĄ I ŻYCIORYSEM AUTORA)

K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW
N. K. N.

WINIETA TYTUŁOWA RYSUNKU Z. ROZWA-
DOWSKIEGO. ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI
LUDOWEJ W KRAKOWIE W MARCU 1916 ROKU

P R Z E D M O W A

(W. T.) *Karol Różycki* (ojciec Edmunda Różyckiego, dowódcy z r. 1863, wsławionego zwycięską potyczką pod Salichą, a syn żołnierza „regimentu królowej Jadwigi“) urodził się 5-go listopada 1789 r. we wsi Czerniowcach na Podolu. W r. 1809, w czasie zwycięskiej kampanii ks. Józefa Poniatowskiego w Galicyi, przekradł się przez granicę i wstąpił do piechoty Księstwa Warszawskiego. Kampanię r. 1812 odbył jako oficer ułanów; pod Borysowem, ranny, dostał się do niewoli rosyjskiej. Za Królestwa Kongresowego służył Różycki w świetnym 2-gim pułku ułanów (białe rabaty, pułkownik Józef Dwernicki, późniejszy zwycięzca z pod Stoczka); wziął dymisyę w r. 1827 w stopniu kapitana. Jego kampania wołyńska w r. 1831, którą opisuje w pamiętniku niniejszym, zasłużyła na następujący sąd ge-

nerała Ignacego Prądzyńskiego: „Karol Różycki był jednym z wojowników, co się najwięcej odznaczyli w wojnie r. 1831-go. W wystąpieniu swoim i kampanii, którą natychmiast odbywać musiał, okazał się patriotą, znakomitym organizatorem, okazał męstwo, rozwagę, czynność i przebiegłość; umiał wzniecić w swoich podwładnych ufność, bojaźń i przywiązanie, zgoła okazał wszystkie przymioty znakomitego wodza. Tacy ludzie są rzadcy we wszystkich czasach i krajach.“ Skrzynecki mianował Różyckiego majorem, potem podpułkownikiem, a w końcu pułkownikiem; krzyż kawalerski „Virtuti militari“ dano mu 17-go czerwca 1831 r. Różycki walczył w końcu w korpusie generała Samuela Różyckiego i wyróżnił się osobistą brawurą w bitwie pod Iłżą. Po upadku powstania listopadowego, na emigracyi należał Różycki przez pewien czas do czynniejszych członków Towarzystwa demokratycznego. W r. 1863, jako starzec 73-letni, przyjechał do Lwowa, aby się oddać do dyspozycyi Rządu Narodowego. Zmarł 12-go września 1870 r.

Pamiętnik jego doczekał się już czterech wydań i licznych przekładów na języki obce. Wydajemy go mimo to po raz piąty, — w przeświadczeniu, że ta opowieść żołnierza-patryoty dawnych czasów utoruje nam najlepiej drogę do serca młodego żołnierza naszego.

Towarzysze moi!

Nieraz przy ognisku obozowem, wieczorem, chciałem wam powtórzyć początkowe szczegóły, tyżące się działań naszego pułku od chwili jego zawiązania; ale utrudzeni codzień marszem, albo krwawą rozprawą z wrogiem naszej ziemi, szukaliśmy spoczynku we śnie krótkim, albo też, zaledwo posileni pokarmem, rzucaliśmy nasze ognie, aby nieprzyjaciela znaleźć przy jego ogniskach. Tak zszedł czas znojów miłych, czas nadziei i szczęścia! Przeminął on jak gody, wesoło, bośmy trwogi nie znali! Smutnie czujemy obecne nasze położenie, w którem starali się nasi nas postawić, i teraz niestety! nadto mamy czasu przypomnieć o tem, co było.

Zgasły ognie obozowe, rozsiodłane konie nasze, groty z naszych lanc rdzewieją! My

śmucni! ale tyran zwycięstwa nie ma, koszt na kupny tryumf swój wygrabia on z fortun naszych. Tysiące naszych braci katuszy jego uległo, ukuł kajdany na dzieci nasze; ale miłość kraju, ale nadzieje bytu naszego wyrwie chyba z każdym z osobna sercem. Nie zapominajmy więc obozu jak cnoty narodowej.

Wiadomość o rewolucyi narodowej w prowincjach, nazwanych Królestwem Polskiem, przyjęliśmy na Wołyniu z taką radością, jakiej doznaje na widok matki, obudzonej z letargu, dziecko, które się już miało za osierocone. Odwiedzaliśmy się wzajemnie w domach naszych, a wzrok każdego przy pierwszym spotkaniu się był obrazem uczuć, jakimi serca napełnione były. Nadzieja wskrzeszenia Ojczyzny, praw narodowych i wolności, jaśniała na licach młodzieży. Starce nasi zdawali się odzyskiwać zdrowie, a kobiety nasze złorzeczyły swojej płci i siłom. Mało mówiliśmy ze sobą, niema radość przepełniała wszystkie serca, krwią polską żywione, a uściśnienia rąk odtąd mocniejsze się zaczęły. Postępy rewolucyi

stopniowo nas dochodziły. Dużo młodzieży z naszych prowincyi udawało się pojedynczo do obozu pod Warszawę. Zimowa była pora. Ja, jak wiecie koledzy, po dwudziestoletniej blisko wojskowej służbie i długiej słabości, nie byłem jeszcze w stanie dzielić tych pierwszych trudów walecznego wojska naszego. Czekałem wiosny, abym mógł zanieść resztę sił, ostatek życia tam, gdzie go zanieść był powinien. Zdawało się przysię, że uzbrojeni w miejscach naszych rodzinnych, użyteczniejsi stać się możemy powszechnej sprawie naszej. Czas płynął dla naszych chęci zbyt leniwo, a Rząd Narodowy z Warszawy nie wyrzekł nic stanowczego, jakiego rodzaju chce mieć poświęcenie z nas.

W przeciągu tego czasu starałem się wyrozumieć fabrykantów leśnych, zawołanych strzelców¹⁾, i z pociechą znalazłem, że nie mniej jak ja kochają Polskę. Powiększyłem natychmiast u siebie wyrobek leśny, i ra-

¹⁾ Autor miał w swoim majątku hutę szklaną i prowadził fabrykację potażu i smoły.

chowałem, że w okolicy trzech mil, na pierwszą wiadomość, pod pozorem polowania w borach, ośmset przeszło strzelców stanie; kilkunastu z nich wiedziało już o moich zamiarach, nie wiedząc o sobie, i ci mieli swoje sekcyę. Ale wiecie, kiedzy, że w tym samym czasie wielu z was pojedynczo odwiedzało mnie w mojem ustroju, i nakoniec podobało się wam zaszczyścić mnie waszem zaufaniem, oddając mi tymczasowe naczelnictwo nad sobą. Nie odmawiałem wam mojego towarzystwa; towarzystwa, mówię, bo mnieznacie, i wierzycie zapewne, że oprócz szczęścia kraju, innych żądań nie miałem. Interes własny w tej epoce czarniejszą był zbrodnią nad wszystkie inne, a miłość własna o tyle tylko przebaczana, o ile przez nią przewyższaliśmy innych w poświęceniu siebie. Zosta-
wiałem żonę i pięcioro dzieci¹⁾, a krwawe

1) Młodszego syna autora, Edmunda Różyckiego, Moskale w r. 1840 wywieźli do Petersburga (podobnie jak syna generała Dwernickiego). W r. 1863 Edmund Różycki, choć gorący Polak i wódz powstańczy, nie bardzo umiał wypisać się po polsku.

ukazy tyрана, wydane w tym właśnie czasie, wszystkie podobne sieroty z domów przeznaczają na Sybir. Podły mąż, stokroć podlejszy człowiek, któryby takimi ofiarami dopuścił się kupować jakiegokolwiek widoki dla siebie na ziemi! Ojczyzna sama tylko do nich ma prawo, przy Jej tylko ołtarzu te drogie sercu mojemu istoty zostawiałem. Taką mieliście rękojmię mojej bezinteresowności; ze śmiałością pytam was, czyście w czynnościach moich ją wysłedzili?

Wiosna i nadzieja szczęścia naszej ziemi zasiliły zdrowie moje. Zazdrościliśmy bohaterom Grochowa i tylu innych bitew, a względem nas jeszcze nic nie wyrzeczono. Nie naznaczono wodza, ani czasu, w którym moglibyśmy zacząć działać, a wojska ciemnicy naszego z najwidoczniejszym przestrachem obsiadały ważniejsze punkta naszych prowincyi. Korzystano z czasu cholerycznego; każda wieś miała wartę, aby utrudnić przejazd, a tem samem zerwać komunikację mieszkańców. Broń wszelką, kosy, noże, siekiery nawet, odbierano, a do męczenników dawnych z pod Sądu Sejmo-

wego dodawano, bez przekonania, bez samego pozoru, coraz nowe ofiary i wywożono do Kurska.

Jak kiedy zbłąkanego nocą wędrowca wschód słońca uradował, tak uradowała nas wiadomość, że nasz sławny, nasz waleczny Dwernicki przeszedł Bug i krwawą drogą ku nam maszeruje. Wiadomość ta doszła mnie po zwycięstwie pod Boremlem ¹⁾, dwadzieścia pięć mil i wojska moskiewskie dzieliły nas od tego bohatera; z drżącymi sercami czekaliśmy chwili działania. Ni przeszczeń miejsca, ni korpusy najemne i niewolne nie były przeszkodą dostać się nam do niego.

Z 25-go na 26-y kwietnia W.... P...., syn znanego wam z patryotyzmu i waleczności pułkownika, zakomunikował mi polecenie pana Chruściskowskiego powstania w dniu 27-go tegoż miesiąca. Krótki ten termin zwrócił mnie z drogi, w której byłem dla widzenia się z hrabią Wincentym Tyszkiewiczem, do domu, abym wezwał was, to-

¹⁾ Dnia 19-go kwietnia 1831 r.

warzysze moi, na czas, na ten dzień wspólnego naszego wesela; ale za ledwo wyprawilem rzeźmieśników dla wbicia grotów w drzewca przygotowane w borach, a tem samem odkryłem się z zamiarem naszym, smutna przyszła wiadomość, która ścisnęła nasze serca, jak mróz grudniowy ścisła wody nasze; ale on ścisła tylko ich powierzchnię, a rzeki płynąć nie przestają, tak równie uczucia nasze smutnie obciążone były, ale miłość Ojczyzny pałać w sercach nie przestawała. Bohater nasz, syt sławy, której nie przeżyją Polacy, łamiąc się korzystnie z pięć razy większą od swojej siłą, a widząc nowo przybywającego nieprzyjaciela, chciał ocalić zasłużone krajowi, waleczne swoje wojsko, i wszedł z niem w granice Austryi¹⁾. Pan Chruścikowski odwołuje powstanie naszych prowincyi, a nieszczęśliwe to odwołanie dochodzi nas tegoż samego dnia, 27-go kwietnia, w wieczór, kiedy wielu już było skompromitowanych. Komu występek

¹⁾ Dwernicki przeszedł granicę austryacką 27-go kwietnia 1831 r.

ten przypisać? jak go nazwać, zbrodniczym czy nierozsądnym? nie wiem; złorzeczyć mu jednak muszę, bo widziałem okropne skutki, i z wami byłem bliski paść jego ofiarą. Więcej on nam jeszcze złego zrobił, bo zawiesił działania naszych, a odkrył zamiar wrogom w dowodach, i w całą przygotowaną rewolucyę naszych prowincyi zaszczerpił niesprężystość i zadał pytanie, czy nie jesteśmy zaniedbani zupełnie? Czyn ten i uwagi nad nim zachwiały mniej odważnych, a srogość żelaznego rządu śledziła wszystkich tych, na których padało najmniejsze podejrzenie poruszenia, i na nowo więzienia po powiatach dopełniano ofiarami.

Sobańscy, Winc. Tyszkiewicz, Jełowiccy, Potoccy, Korsak, Rzewuski, Dobek, Bernatowicz, Nagorniczewski, Gołyński, Pobiedziński i wielu innych obywateli Podola wyszło uzbrojonych w pole, a wkrótce szesnastcie szwadronów kawaleryi i znaczny oddział piechoty uformowano pod naczelnictwem generała dawnych wojsk, Kołyski. Każdy z tych synów Ojczyzny pałał zemstą i chęcią bronienia swojej ziemi. Dla

nas, koledzy, naznaczyłem dzień 17-go maja do wystąpienia zbrojnego. Przy zawiązaniu się naszego oddziału wykonałem przysięgę, którą pamiętacie: „Nadeszła chwila jaśniająca litością Boga, nikną zastępy tyrana przed nielicznymi rotami walecznych braci naszych! Ja, Karol Różycki, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Sw. Jedynemu, że, obrany tymczasowym naczelnikiem oddziału, władzy mojej nie użyję inaczej, jak ku dobru Ojczyzny naszej! od czego mnie nie odstręczy żadna moc, bojaźń prześladowania, nie ujmą wszystkie skarby wroga, ani żadne widoki osobiste; tak mi Boże dopomóż i niewinna męko Chrystusa Pana“. Podobną przysięgę każdy z was wykonał przedemną, albo upoważnionym, z dodatkiem: „Że na czas i miejsce, wyznaczone przez tymczasowego naczelnika, stanę i, cokolwiek mi poleci, wykonam“.

Z 16-go na 17-ty zebraliśmy się w lasach Korowiniec Mały, o mil cztery od Łytomierza, miasta gubernialnego Wołynia, osadzonego działami i wojskiem,

ale zebraliśmy się nie wszyscy. — Bo wiecie, że ze spiskowych naszych jedni, ujęci, jęczeli od tego dnia w kajdanach, inni odcięci byli przez nieprzyjaciół naszych, niektórzy zaś, przerażeni odwołaniem dawniejszem, haniebnie pozostali w domu, i zamiast wyrachowanych 480 koni stanęło 130. Ubolewaliśmy nad tymi, którzy zostali ujęci, a mało odważnymi pogardziliśmy.

Niewiele palnej broni i pałaszów uzbrajało nas, ale uzbrajały nas lance, ta odwieczna polska broń, której każda inna ustąpić musi. Pod okiem rządu trwożliwego tyrana nie mogłem wam dostarczyć zwykłych grotów, ukute więc zęby bronowe i odostrzone zastąpić je miały. Nieraz u nas dawniej narzędzie rolnicze przekute było na broń, naszej zaś broni, na oswobodzonej ziemi, o jak mile użylibyśmy do roli.

Na miejscu zbioru podzieleni byliście na cztery plutony; przeznaczyłem komendantów plutonowych i podoficerów; ustawieni zostaliście w szereg, a kilka mniejszych poruszeń były pierwszą naszą musztrą. Uprzedziłem was, że uległość, ściśle wypełnienie

poleceń i niewchodzenie w zamiary moich dążeń marszowych jest koniecznem. Do szanowania spokojności i własności mieszkańca nie potrzebowiałem was zachęcać, samiście to czuli równie jak ja, a tak furaz, żywność, przewodnik i wszystko zgoła płacone było. Wskazana wam była na prędcie służba obozowa, służba placówek i wedet, które pierwszej już nocy w porządku zajęły miejsca swoje. Związki przyjaźni, sąsiedztwa, pokrewieństwa tam zaraz zawieszone były; szacunek wzajemny pozostał, a węzeł sprawy świętej wiązał nas silniej nad wszystkie inne¹⁾. Jedne były

¹⁾ Dodatek z opowiadania Karola Różyckiego (podług Rettela): „Wszystko to po większej części była młodzież, potrzebująca snu przedewszystkiem po tak wielkiem utrudzeniu; nie będąc pewnym nawet placówek moich, ja jeden w obozie nie mogłem oka zmrużyć, bo wszystko mi ufało i wszystko polegało na mnie; postanowiłem zawsze maszerować nocami, a w biały dzień tylko spoczywać i to gdzieś na obszernem i otwartem miejscu. Bywało nieraz, że wszystko spało, jak zabite i nie miałem serca ich budzić; nie złażąc sam jeden z konia, za cały oddział mój czuwałem, gorąco oddając pod opiekę Bożą

uczucia, jedne cele nasze, tak, jak my byliśmy dziećmi jednej ziemi; słowa „Sława Bogu“ w miejscu dzikiego „Hurra“ zaleciłem wam powtarzać przy ataku. Rozesłałem w różne strony dobrze zapłaconych szpiegów i zamierzyłem sobie zrobić kilka szybkich marszów w różnej dyrekcyi tejże okolicy, żeby pod zasłoną naszą mogli wyjść z nami inni, gotowi ziomkowie nasi. Późem mieliśmy się udać na Podole, wesprzeć powstanie Kołyski, a w miarę naszego powodzenia zamierzałem powrócić, zebrać moich strzelców pieszych i osadzić nimi niedostępne miejsca w lasach między Romanowem a Zwiąhlem; te chciałem mieć za punkt oparcia się, a jazdą przecinać mieliśmy blizkie trakty transportowe, prowadzące z głębi kraju do czynnej armii nieprzyjacielskiej. Oddaliliśmy się natychmiast od Zytomierza w prostej dyrekcyi

i siebie i moich żołnierzy; wyteżalem oko ze środka mojego małego obozu, bo jedna sotnia kozaków, napadająca nas z nienacka, mogła wielką rzeź sprawić, nimby się mogli moi otrzeźwić, przyjść do przytomości i powsiadać na konie.“

na L u b a r , a z 18-go na 19-go w nocy, odmiennym kierunkiem, zbliżeni byliśmy do Ł y t o m i e r z a o dwie i pół mile, zawsze jednak na prawym brzegu T e t e r o w a ; stamtąd w kierunku U ł a n o w a , 20-go z rana, przeszliśmy dwa trakty żytomierskie; zwiększył się nasz oddział, a nieprzyjaciół miał trzy różne strony do szukania nas. Kilka dni unikać spotkania się z nim konieczną było potrzebą, już to dla pomnożenia sił naszych, już dla wprowadzenia w dokładniejsze ruchy frontowe, które w marszu, ile razy pozwalało położenie, powtarzane były. W K o r o c z e n k a c h odebrałem wiadomość, że znaczny transport rekrutów, niewielkim pieszym konwojem prowadzony do armii nieprzyjacielskiej, przechodzić ma natychmiast przez C u d n ó w . W otwartej pozycji doszła mnie ta wiadomość; wsią więc zakryty stanąłem, i w kilka godzin, pod samym Cudnowem 560 rekrutów uwolnionych błogosławiło nam, rozsypując się w stronę lasów. Oficer konwoju, wylękły, na kolanach dziękował za zostawione swoje życie, które mniej może cenił

od bumażek, jakie mu kazałem powrócić. 50 karabinów z bagnetami i tyleż z ładunkami ładownic było pierwszą naszą zdobyczą, a 80 czapraków nowych huzarskich, robionych w Cudnowie, przykryło siodła naszych jeźdźców. Oddział kozaków ucierał się z moją aryergardą i odkrył mój marsz; dla nieokazania więc siły małej i strony dążenia, przeszedłem w Dubiszczach na lewy brzeg Teterowa, w stronę leśną. Nocowaliśmy pod Futorami Muraczyńskiego, jak wiecie, w sąsiedztwie nieprzyjacielskiej piechoty, ale ona o nas nie wiedziała.

Z poruszeń oddziałów nieprzyjacielskich, od Żytomierza wysłanych, poznałem, że chciały nas szukać koło mojego domu, położonego w brzegach lasów, o dwie mile od Cudnowa. Z tego stanowiska nazajutrz o trzeciej rano poszliśmy w ciągły marsz na Podole. Bagażów żadnych mieć nie wolno było, bryka mocna z amunicją i kasą, uprząż i konie dobre nie przeszkadzały nam, jakkolwiek złe, przebywać drogi. Już miałem niemiłą wiadomość, że generał Kołysko,

po znacznej stracie pod Daszowem, zbliżał się nad rzekę Bug podolski ku Janowowi, ale oraz w kilka godzin jeden z moich wysłanych doniósł mi, że szwadrony jenerała, mężnie starłszy się z nieprzyjacielem, miały w niewoli generała moskiewskiego i działa. Oddział nasz rachował już przeszło dwieście koni, podzielony był, jak wiecie, na dwa szwadrony; szyk bowiem bojowy był w jeden szereg, dla łatwiejszych poruszeń, i dla łatwiejszego użycia każdego grotu.

Nie pretendujemy, koledzy, żeby szyk jednoszeregowy mógł być naśladowany przez kawaleryę, że nam jednak był on właściwy, czas późniejszy miał was o tem przekonać; a ja, służąc ciągle dawniej u ułanów, w samem uderzeniu na front nieprzyjacielski nigdy nie widziałem dobrze zachowanych dwóch szeregów; stawały się one jednym wtenczas, kiedy ułani uderzali odważnie w front wytrzymujący, nigdy inaczej wtenczas, kiedy złamany pierzchał przeciwnik; w nieśmiałem zaś uderzeniu na front nieprzyjacielski, nieraz z dwóch robiło się trzy,

i więcej szeregów, a groty lanc te tylko były czynne, te swoją robiły powinność, które mężniejszym ramieniem niesione były w pierwszym szeregu, a zatem w jednym. W szyku zwyczajnym, dwuszerogowym, dość jest, ażeby pierwszy szereg pierzchnął, a wtenczas, choćbyśmy przypuścili, że drugi nie chciał go naśladować, to nie możemy wymagać po nim, żeby mógł zachować porządek i wstrzymać nieprzyjaciela, kiedy już był roztrącony i popchnięty przez swoich. Te uwagi i wiara w waszą odwagę doradziły mi w jednym szeregu mieć szyk bojowy; mieliśmy front dłuższy i łatwiejszy do wykonania poruszeń, a w razie potrzeby wolałem w odstępie pluton za plutonem postawić, żeby się wspierały, jak ścisnąć szeregi i odebrać sposobność drugiemu szeregowi użycia swoich grotów.

Mieliście zawsze rozrachowane plutony na dwóch, trzech, i sekcye czyli półplutony, żeby można było rotami, trójkami lub półplutonami, w miarę miejscowości, maszerować.

W Ułanowie dla przecięcia komuni-

kacyi zabrana była poczta. Konie pocztowe, niezdatne pod jeźdźców, użyto do wiezienia karabinów, których przybywało na każdej prawie mili, gdyż często awangarda nasza albo małe poboczne patrole znajdowały po kilku przechodzących maruderów moskiewskich i rozbrajały. Właściciel koni pocztowych ocenił je sam, dostał kwit, i dziewięćdziesiąt rubli srebrnych kazałem mu z kasy wypłacić. W tem miejscu placówka przyjęła kuryera z papierami, między którymi znalazłem raport generała Rotta do swego Cara, opisujący bitwę daszowską z powstaniem Kołyski; donosił on między innemi: że oficer charkowskiego pułku zabił Izydora Sobańskiego, który jednak miał później udział w walecznych szeregach naszego wojska i dotąd żyje. W drugiej ekspedycyi, do generał-gubernatora Lewaszowa, znalazłem tenże sam raport w kopii, ale już zwycięstwa te nierównie w niej zwiększone były; wiedziałem, że to będzie w kursoryi, jak wiele innych fałszów, i nie dziwiłem się, że szef sztabu poświadczył wierność kopii. Wiele różnych raportów

mniej znaczących spłonęło, i rozgrzewało nasze kociołki, a 800 rubli wiezionych stało się własnością naszych jeźdźców.

Oddział znaczny kozaków przez Troszczę, a strzelcy konni z działami od Berczowa ruszyli przeciwko nam, Żytomierskie zaś komendy błdziły za nami, a my w tym czasie zyskaliśmy dwa marsze. Rott z pod Chmielnika ciągnął na Łatyczów, my między Chmielnikiem a Janowem przeszliśmy na prawy brzeg Bugu i stanęliśmy na wysokości Lityna w dyrekcyi Ksawerówki, skąd lewem skrzydłem korpusu Rotta jednym forsownym marszem zamierzałem dostać się do Kołyński. Tam, kiedy wysłannicy moi dają mi dokładną wiadomość, koło dwunastej w południe, o ruchach Rotta i Kołyński, wiedziałem, że ostatni ma kierunek na Sołdkowce; wiedziałem także, że od Proskurowa na Stary Konstatynów, Zasław, Ostróg, Łuck wyciągnięta była linia nieprzyjacielska, łatwo więc wnosiłem, że Kołyisko nie zechce wzdłuż linii i granicy austriackiej zmieniać dyrekcyi,

ale raczej uda się do Galicyi. Generał Szczu-
cki, jeniec uwolniony od Kołyski, odpoc-
zywał tej nocy z batalionem piechoty,
która, rozebrana, spała o ośmset sążni od
nas; mogłem go na nowo mieć jeńcem z ko-
rzyścią nad piechotą znużoną i śpiącą,
wszystko już było do tego przygotowane,
kiedy, stosując się do ruchów naszych braci
pod Kołyską, nie należało nam wprzęgać
się w tej okolicy w bitwę. Zwołałem więc
was. Oświadczyłem: że zdaje się, iż Ko-
łysko zmierza ku Galicyi, w tem położeniu
pomocy mu nie zaniemiemy. Puśćmy się za-
tem zuchwalszą ale nadziei drogą, puśćmy
się tam, gdzie nie będzie Chruścikowski
nakazywać i odwoływać powstań, aby nas
w nieporozumienie wprawiał, rozrywał na
częstki, nie mające wiadomości o sobie,
i na pastwę wrogom naszym, pod wro-
tami domów naszych, zostawiał; idźmy do
Królestwa! Nie tałem wam niebezpie-
czeństw i trudów, jakie przebyć mieliśmy,
owszem, pamiętacie zapewne, żem mówił:
połowa większa nas zgiąć może, ale re-
szta stanie w szeregach wojska narodo-

wego, ażeby dała znać tym walecznym zastępom, że nasze prowincye jedno z niemi czują, jedno myślą; niech się dowiedzą, że niema nikogo, ktoby nas razem wezwał, prowadził, czas i drogę wskazał; niech się dowiedzą o tem smutnem naszym położeniu, i niech powiedzą nam, czy jest tam dla nas litość? czy są tam tacy, którzyby chcieli po nas godniejszych ofiar nad te, które dotąd wróg z nas sobie wybiera?

Noc była, wiatr przez księżyc pędził chmury, światło migało, zakurzone lica nasze chwytałem tylko wzrokiem, ale dość widziałem, żebym was poznał. Tak widzi ojciec w ciemną noc i dżdżystą, przy błysku piorunu, dzieci, które prowadzi, i poznaje znajome mu rysy; tak ja was poznałem, poznałem, że chcecie tego, czego ja chcę, a wkrótce głosy powtórzyły, com widział: idźmy!

Zwróciłem marsz ku W i n n i c y, aby tem poruszeniem nie dać poznać nieprzyjacielowi strony, w którą prawdziwie zmierzałem, i żeby się uniósł w stronę przeciwną, i tak było. Rott rozumiał zapewne, że my,

z daleka go oskrzydlaając, do Galicyi dążyć mamy, bo wysłał kawaleryę z działami na Bar, która szybko ten punkt ubiegała; a my, w zmienionym przykro ¹⁾ kierunku, w trzydziestu czterech godzinach przez Bug przeprawiwszy się, stanęliśmy w Janowie, o jeden wielki marsz od Rotta, dalej jeszcze od Baru, gubiąc zarazem na naszej lewej stronie oddziały kozaków i strzelców, które nas wprzód ścigały o trzy wielkie mile. Oddziały te, wnosząc widać, że na środek korpusu Rotta wpędziły nas, a tem samem dopełniły swoich powinności, spoczywały.

Oddział nasz zwiększył się o jeden pluton. Każdemu przybywającemu ochotnikowi wystawiałem wobec frontu ważność naszego poświęcenia się, trudy, które przeciążać mogą siły człowieka, i niebezpieczeństwo, wśród którego żyliśmy; a tego tylko przyjmowałem do naszych szeregów, który się takimi uwagami nie odstręczał. Cześć naszym współziomkom! nie potra-

¹⁾ T. j. pod kątem ostrym.

filem przerazić żadnego szczerością obrazu naszego położenia. Pamiętacie zapewne jeźdźca w okularach; on jeden prosił o uwolnienie, więc je dostał.

Ogólny mój zamiar widzieliście; komendantom szwadronów wskazałem główniejsze punkta mojego dążenia, i zastępstwo po sobie przeznaczyłem w razie, gdybym poległ.

Z Janowa przed wymarszem wysłałem trzech z osobna żydów bez wyboru, dając każdemu pieniądze, aby w Chmielniku zamówili furaz i żywność, choćby najdroższą ceną; polecenie to odebrali w obecności wielu, śpieszyli zarobić na cenie i służyli nam dobrze, zawożąc wiadomość do Chmielnika, że my tam idziemy, kiedy po popasie jednym marszem stanęliśmy w Krasnopolu.

Pierwszą bitwę życzyłem sobie mieć z niezbyt większą od naszej siłą, żeby niezawodną odnieść korzyść, i stopniami was oswoić. Unikaliśmy więc siły wielkiej, ale postanowiliśmy raczej zgiąć naraz wszyscy, jak przed największą nawet uciekać. 27-ego,

przeszedłszy Krasnopol, popasaliśmy konie i sami skromnym obozowym obiadem posilaliśmy się; tam odebrałem wiadomość od moich wysłanników, że dwa oddziały nieprzyjaciół idą ku nam: jeden, z prawej naszej strony i z tyłu, miał przybyć przez Krasnopol, a drugi, z przodu, przez Mołoczki. Na lewo były błota, a na prawo bagnista rzeczka; poznałem się na prędkę z naszym położeniem, i zaledwie po ukończonym popasie kazałem sięść na koń i być w pogotowiu, kiedy wedety nasze za Krasnopolem stojące, które już miały rozkaz wejść na miejsca, przez wystrzały ostrzegły nas o zbliżeniu się nieprzyjaciela. Wychodziliście w porządku w równiny, ja obserwowałem nadchodzących przeciwników. Widziałem oddział piechoty nie mocniejszy nad pół batalionu i 40 kozaków, wchodzących do Krasnopola. Wysłałem podoficera z kilku ludźmi spatrolować Mołoczki, wieś, przez którą była droga naszego dążenia konieczna i dla przeszkód wzmiankowanych, jedyna. Wkrótce powrócił podoficer i raportował, że piechota stoi

pod tą wsią; zatrzymałem was frontem do Krasnopola, żeby nie ośmielić stamtąd idącego przeciwnika; zatrzymał się i on na widok nas. A wtenczas, odstępując w schody pół szwadronami, zbliżaliśmy się ku Mołoczkom, od których chciałem odciągnąć drugi oddział Moskali, gdyż chciałem, żeby wyszedł w otwarte pole. Jakoż dostrzegłem, że drogą wysadzoną posuwał się ku nam; dla drzew dużych i fos wzdłuż drogi, nie mogąc go frontem szwadronowym atakować, kazałem z obydwóch stron drogi po trzy plutony ustawić, a dwa plutony stały w alejach. Powtórzyłem przestrożę, że wtenczas tylko atak jazdy jest dobry, jest skuteczny, kiedy się całym pędem konia wyteża. Plutony po bokach drogi ustawione, pod rozkazami komendantów szwadronowych, miały odciąć nieprzyjaciela od wsi i zwróciwszy, z tyłu uderzyć; z dwoma zaś plutonami, Seweryna Pilchowskiego i Michała Czajkowskiego, postanowiłem środkiem atakować od czoła. W tym porządku zbliżaliście się ku niemu, kiedy ujrzałem, że się w czworobok zwinął i sta-

nał; od 150 kroków kazano wam iść kłusem, a od 80 usłyszeliście gwizdzące kule; „puszczaj cugle!” zawołałem, i zabrzmiały pierwszy raz słowa „Sława Bogu!” a konie nasze całą siłą pędu wniosły nas w szeregi niewolników. Padają! krzyczą pardon! Pierwszy, który o życie prosił, utracił je od własnego komendanta; wyrwał mu z rąk waleczny kapitan karabin, przebił pardonu wołającego żołdaka i zawołał: „Bagnetami, dzieci, kłuć!” (*Sztykami rebiata!*), ale późno już było, szeregi roztrącone konały na zębach naszych bron; kapitan jednak nie przestawał być mężnym; chybił celu jego bagnet, bo suknie tylko na piersiach moich przeszył, a szóstą zadając ranę konikowi mojemu, już nie miał w ręku bagneta, bo już życia nie miał. Kilka strzałów i zębów bronowych utonęło razem w jego łonie, padł godzien pamięci, gdyby godniejszej swojego męstwa bronił sprawy. Pamiętajcie, koledzy, że kolumna ta mała podpłynęła posoką; litość by odwracała niewinne oczy wasze od tego widoku, a uszy przeniosłyby szybko do serc waszych błagania,

ale młode oczy wasze widziały dużo łez, a uszy słyszały jęki waszych rodzin, które wyciskało bożyszcze tej tłuszczy. Pamiętacie, jak bracia nasi ścisnęli ich i z czworoboku w piramidę zrzucili. Pamiętacie, kiedy jeżdżce płochliwszych koni pieszo deptali po głowach i siłą obydwóch rąk wtłaczali groty po drzewca w swoje ofiary.

Kazałem dobošom bić odbój „do nogi broń!“, żeby drugi oddział, blisko stojący, w Krasnopolu, słyszał ten apel. Obydwa te oddziały były imienia Księcia Welingtona. Rozwleczono na koniec kupę i na jej dnie znaleziono oficera, który klęcząc prosił życia; zostawiono mu je tem chętniej, że utrzymywał: „Za Ojczyznę moją całą krew moją oddam, ale wy z carem naszym wojnę macie“. Dogodziło się temu młodemu oficerowi, bo tak na dnie w cudzej krwi zachował się, że swojej ani kropli nie uroził. Płaszcz mój okrył przemoknięte jego ramiona, jednym chlebem żył z nami, a po kilku marszach uwolnionym został. Stanęliście potem w kolumnę plutonową, a ja drugiego wyglądałem oddziału nieprzyja-

cielskiego, kiedy nadbiegł i doniósł podoficer plutonu asekuracyjnego przy koniach podwodowych, kasie i broni, że oddział ten nie wychodzi z Krasnopola, i po odboju w bębny, słysząc, że broń złożona, obsadza stodoły, a kozacy na widok ataku unieśli się w stronę, z której przyszli. Nie naszą więc rzeczą było atakować ich w takim położeniu, a nadto nam ubiedz należało szybko wysokość Cudnowa, osadzonego piechotą i działami, wysokość Zasławia i Żytomierza, i stać się wcześniej panami drogi wielkiej, z Nowogród Wołyńska do Ostrowa prowadzącej, żebyśmy nie byli przymuszeni trzymać się prawego brzegu Słuczy, strony bagnistej i coraz odleglejszej od naszego dążenia. Co prędzej zatem zebrano na wozy 230 karabinów, tyleż ładownic z ładunkami i pałaszami, oraz bębny, jako naszą zdobycz, a słowa „Sława Bogu!“ na znak wdzięczności po trzykrotnie wykrzyknęliśmy.

Pamiętacie, żeśmy winni szybkości naszego ataku, że tylko jeden Rosołowski od dwóch kul był ranny, bagnetami zaś dzie-

więciu innych jeźdźców naszych ranionych było i szesnaście koni, między którymi konie Czajkowskiego i Pilchowskiego Seweryna po kilka ran odniosły. Zabraliśmy naszych rannych, a Moskale dostali kilkadziesiąt złotych na wódkę; lecz mało było takich, którzyby z tymi pieniędzmi mogli powrócić do karczmy w Mołoczkach, gdyż oprócz zabitych, z całego tego oddziału, jeden oficer tylko, dobosz i trzech frontowych nie byli ranni; trzech ostatnich, na usilne ich prośby, zabraliśmy z sobą i w nasze szeregi wcielili. W Wiśle dopiero mieli oni splukać posokę, która ich płaszcze zafarbowwała.

Pamiętacie, że z Krasnopola czyli Mołoczek puściliśmy się prostą dyrekcją na Cudnów, gdyż chciałem, żeby się tam na nas przygotowano, a w nocy, przykro zmieniwszy marsz nasz na Lubar, obok tego miasta, szybką stępą przeszliśmy i stanęliśmy nazajutrz w Miropolu. Czuję razem z wami nieprzyjemne przypomnienie posiadacza tego miasteczka i nie odnawiałbym żalu naszego, ale kiedy powinnością

jest hołd cnocie narodowej składać, występkiem byłoby pokryć milczeniem zbrodnię, popełnioną w sprawie Ojczyzny. Pan Miropola oświadczył kilku naszym kolegom, że, chcąc mieć oczyszczone swoje dobra z buntowników, daje natychmiast znać Moskalom o nas. Ocalenie swoje winien on przykładowemu porządkowi, jaki zachowywaliście; porzuciliście go w jego domu, a przy raporcie żądaliście odemnie ukarania. Pogardźmy, mówiłem, szpiegiem moskiewskim; wszakże rotę, którym on służy, cała potęga tyrana nie przeraża nas, a cóż jeden potwór, wylęgły na tej ziemi, może nas zajmować? niech żyje owszem, jak zły Polak z obciążonem sumieniem, niech służy naszemu ciemieżcy, niech czeka od niego orderu, tej cechy hańby i upodlenia w teraźniejszym czasie.

Po popasie koni i ugotowaniu jedzenia, udaliśmy się w dalszy marsz, trzymając się jeszcze prawej strony Słuczy. W pięć godzin po nas, pan Miropola miał już u siebie żądanego generała moskiewskiego, któremu wystawił swoje doniesienie, jako nowy

dowód wierności, a później w kilka tygodni tłumaczył się przed naszymi ziomkami, że nas miał za kozaków Dońskich, bo podług niego nadto mieliśmy być porządni na powstanie. Ale, tłumacząc się, zapomniał zapewne dodać, że widział pomiędzy nami sąsiadów swoich, znajomych i mówił z nimi, widział Omiecińskiego, Czajkowskiego, Pilchowskich, Szaszkiewicza i wielu innych.

W przechodzie, z a U l c h ą, konwój armat i moździerzy kościelnych rozbrojono, a kilka wozów tych narzędzi, zagrabiionych z przed domów Bożych, zatopiono w S ł u c z y. Drugiego dnia po wyjściu z Miropola, pod Baranówką przeszliśmy na lewy brzeg Słuczy. Prom i mosty kazałem poniszczyć, ażeby oddziałowi, sprowadzonemu przez pana Miropola, utrudnić przejście. O pięćset sążni za Baranówką gotowano jeść i pasiono konie; wiedziałem, że nieprzyjaciel, który ku nam w czasie noclegu nie śmiał się zbliżyć, stanął na prawym brzegu Słuczy; popas nasz kończyliśmy spokojnie, gdyż byłem pewny, że promów nie może sprowadzić, chyba za sześć godzin, albo

musi krążyć na Rogaczew. W marszu przed wieczorem uwiadomiony byłem, że część Moskali przeprawiła się do Baranówki i rabowała dom szanownego obywatela Mejzera, ale godziny miałem porachowane. Mówiłem już, że trakt wielki z Nowogród-Wołyńska przejść nam trzeba było, nim zajęty zostanie; nie mogłem więc pomścić się nad zbójcami, nie mogłem pomocy podać ziomkowi. 30-go maja przebyliśmy wspomniany trakt wielki, uprzedziliśmy Moskali od Ostroga ruszonych i w nagrodę szybkich kilku marszów zabraliśmy prowadzony do armii transport prochów i różnych pocisków, 49 wozów, z których dwie beczki tylko prochu kazałem zostawić, resztę zaś rozbić z beczek i pak i zatopić w stawie Kilkijowskim.

Na tej także drodze zabraliśmy 110 wozów nieprzyjacielskich, świeżo wyprawionych z Nowogród-Wołyńska do głównej armii z żywnością i owsem; konie pociągowe z wozów, których było 231, zdatniejsze kazałem zabrać w szeregi, na miejsce odsednionych i rannych; owies, krupy i su-

chary, oraz wozy kute na części rozrzucano i rozdawano w marszu mieszkańcom tej okolicy. Wchodząc w leśną pozycję, poleciłem zatrzymać 20 wozów z owsem i kilka wziąć pod broń zdobytą i rannych. W najporządniejszym korpusie wozy w czasie wojny opóźniają marsz, a często stają się zgubną zawadą; dlatego, chociaż kazałem aryergardzie zasłaniać nasze, ale byliśmy zawsze od nich naprzód o ośmset sążni. Ranni tylko, oraz broń z amunicją i kasą ciągnęli zaraz za kolumną, bo ta strata byłaby dla nas interesującą¹⁾. Od tego punktu marsz nasz zaczął być nie tak nagły, i mniej bezsenne noce, żebyście nabrali nowych sił na nowe i wielkie jeszcze trudy. Ł u c k był dosyć na lewo, żeby nam mógł grozić.

Wchodziliśmy w widła dwóch rzek; na prawo była Słucz, a na lewo Horyń. Tem niebezpiecznem przejściem chciałem zwrócić uwagę generał-gubernatora Lewaszowa, że zamierzam udać się na prawo

¹⁾ T. j.: nie byłaby dla nas obojętną.

ku Owru czowi, gdzie miało być powstanie; z drogi tej także na wszelki przypadek dostać się nam można było do Litwy, gdzie wiedziałem z pewnością, że powstania działały.

31-go maja weszliśmy do Międzyrzecz a; okrzyki radosne powitały nas; były tam szkoły Pijarów, zastaliśmy młodzież naszą, nadzieję kraju, nadzieję Polski. W kilka minut każde drzewce naszych lanc ścisnęły młode dłonie, niezdolne jeszcze grubości ich okrążyć; ognisty wzrok tonął w naszym wzroku i rzeźwił uczucia pracą sfa tygowane. Każdy nasz koń widział przy sobie nowego jeźdźcę, który za ledwie koniec grzywy z pyłu mógł mu oczyścić. „Pójdziemy z wami!“ zawołali wszystkich klas uczniowie, a głos ten bez wątpienia słyszeliście całą mocą dusz waszych. Zwołałem ich do porządku; starszych przeznaczyłem w szeregi, w które z uniesieniem i pychą wstąpili, a młodszym radziłem czekać, aż ich wiek uzdolni. Słyszeliście każdego, jak rachował swoje lata, a rachunek ten nie z wiekiem, ale z miłością Oj-

czyzny był zgodny. Stajnia Steckiego nie była zamknięta i razem ze służbą dworu tego znakomitego Polaka, poszła powiększyć liczbę naszą. Trzeci szwadron był dopełniony, a my po odpoczynku ciągnęliśmy dalej. Oficerowi aryergardy poleciłem, żeby z wszelką grzecznością nie pozwalał małym naszym ochotnikom iść za kolumną, ale uprzedzali oni nas i przy drodze zastawaliśmy zadyszane dzieci z płaczem i prośbą, aby je zabrać. Nie było ani dość silnych, ani dość przerażających uwag, któreby wszystkich zwróciły; niektórzy z nich zatrzymali się i bez wiadomości mojej poobsiadali wozy, ze zdobytym furazem idące.

Na drugi dzień szwadrony w tym samym porządku przechodziły przez Bereźno, jak wyszły z Międzyrzecza, a pod wsią Tyszycą, o milę za Bereźnem, oficer prowadzący aryergardę raportował mi, że kawalerya rosyjska zbliża się za nami tą samą drogą, i że on po małym odporze, podług instrukcyi, opuścił wozy z furazem, a zasłonił konie podwodowe, rannych, kasę i broń. Pozycja była leśna. Awangarda

nasza wchodziła do wsi Tyszycy, za którą widać było pole, a na prawo rzekę Słucz; rozkaz mieliście iść kłusem, żeby wcześniej postawić się można było. Wychodząc ze wsi, widziałem zaraz za nią fosę, na prawo w brzeg Słuczy wkopaną, a na lewo wyciągniętą w głąb lasu; mostem przez nią przechodziliśmy, przypatrzyłem się jej i chciałem z niej skorzystać. O sto kroków za tą przeprawą uformowaliście odwrotnie front ku wsi; trzeci szwadron odebrał rozkaz uformować się przy drodze za dwoma pierwszymi, o trzysta kroków z tyłu i na prawo pod lasem, który za niewielkim kwadratem pola znowu się zaczynał, już to dla asekurowania nas, a równie dlatego był oparty o las, żeby nieprzyjaciel nie mógł sił naszych ocenić. Za tym szwadronem stała kasa, ranni i broń; my dwoma szwadronami pierwszymi uszliśmy jeszcze ku fosie kroków dwadzieścia, usuwając front w lewo, żeby jego lewe skrzydło oprzeć o rzekę. Tak przygotowani, widzieliśmy kłusem zbliżających się nieprzyjaciół; wychodzili oni ze wsi i między wsią a fosą

formowali się do frontu. Były to dwa szwadrony sztelców konnych Derbskich pod komendą pułkownika Petersa. Oficer ten, stojąc na moście w interwale swojego dywizyonu, kazał rozpocząć ogień karabinowy, nie mając przeciw sobie ani jednego strzału, gdyż chciałem go ośmielić przez to do przeprawienia się przez fosę. Trwał ogień, pamiętacie, ciągly; broń, drżącą ręką niewolnika kierowana, o ośmdziesiąt kroków nie niosła nam szkody; lulki nasze dopalaliśmy, a Peters jeszcze nie śmiał przejść fosy; trzeba go więc było sprowadzić na jedną z nami stronę, i dlatego kazałem kłusem szwadronowi drugiemu Michała Grudzińskiego zejść plutonami w około, aby rozumiał, że zaczynamy rejteradę. Jakóż w tym samym momencie usłyszeliście moskiewskie „hurra!“, a mostem i wążkami kilku ścieżkami przeprawili się Moskale i stawali do frontu. Czekaliśmy, aż się przeprawiają wszyscy; „hurra“ trwało, szwadron drugi galopem plutonami do frontu powrócił, las powtórzył nasze „Sława Bogu!“, ucichło „hurra“, a lance nasze już

tłoczyły wrogów w fosę. „Ratujcie się dzieci!“ (*spasajties rebiata!*) zakomenderował Peters, przebił się na most przez swój front ciśniony i uciezką ocalał. Ofiary niewoli jedne zaległy fosę i pola Tyszyca, kilkunastu w głębi Słuczy wieczne znalazło schronienie, 48 z dwoma szwadronowymi wachmistrzami w niewoli naszej było, a oficerowie za pomocą swoich koni wiernie Petersa spełnili komendę, oprócz jednego kapitana zabitego. Nic łatwiejszego nie było, jak ścigając małą resztę, z przestraszem uciekającą w lasach, pobić albo zabrać w niewolę i w każdym innym czasie opuszczać taką sposobność byłoby nieroztropnością, występkiem byłoby komendanta; ale my, goniąc za wylękłym Petersem, cofnęlibyśmy nasz marsz, zamiast go kontynuować; z miłych pól Wołynia, zalanych wrogiem, wydrzeć się nam potrzeba było, a nie szukać w samych nawet zwycięstwach korzyści. Rozrządzenie Chruścikowskiego w takim nas stanie postawiło. Goniony był jednak Peters kilkaset sążni za wieś, i cały prawie furaz dostał się nam napowrót.

Pamiętacie, koledzy! że na odbitych wozach znaleźliśmy powiązanych młodych naszych ochotników Międzyrzeckich, których omijając, Peters w swojej ucieczce w takim stanie dopuścił rąbać, a może i sam rąbał; bo żołnierz, który na placu lęka się zajrzeć w oczy swojemu przeciwnikowi, bezbronemu nie przebacza i na bezbronnym bez strachu wywiera całą swą srogość, bo innych laurów nie godzien. Prócz odebranych z jego mocy sześciu, zabrał on jeszcze goniących za nami dziesięcioro dzieci, cnotą tylko i chęcią dojrzałych, oraz podoficera Porczyńskiego z dwoma ludźmi, któremu pozwolono było na moment zostać w Bereźnem. Pamiętacie dwóch młodych studentów? Goniąc Moskali, zastaliśmy ich we wsi, w ciasnem przejściu, między budynkiem a cmentarzem; tam oni, z wozów zsiadłszy, bronili się Moskalom, kilku z karabinów swoich ranili; nakoniec jeden z nich ranny, a drugi obok swojego towarzysza spał snem wiecznym, snem cnoty i miłości Ojczyzny; przeniesiony za ścianę, pod którą walczył i krwią swoją oblał, spoczywa pod

nią, pałaszami zagrzebany. Było jeszcze z naszej strony pałaszem rannych sześciu (jeźdźców) i (oficer) Adolf Pilchowski. Tam pod Stanisławem Duninem, komendantem pierwszego szwadronu, padł także koń od kuli. 78 koni, 120 karabinów, kilkadziesiąt pałaszy i pistoletów było naszą zdobyczą.

Peters, tłumacząc się ze swojej straty i ucieczki, rozniósł wiadomość, że nas znalazł dziesięć tysięcy, i tem na później usłużył nam bardzo.

Przez Luck, Torczyn, Włodzimierz, Korytnicę, Luboml, Opalin i Włodawę, wzdłuż Bugu, wyciągnięta była linia nieprzyjacielska. Kowel, najbliżej na naszej lewej stronie położony, osadzony był działami i piechotą; dochodziliśmy do Dąbrowicy; punkta położenia wojska nad Bugiem już mi dobrze były wiadome. Widziałem, że przejście do Królestwa jest trudne, ale niepodobnem nie było, boście wy mężni byli!

Wysłani moi do Dąbrowicy donieśli mi, że Petersa wiadomość o naszej sile doszła do Kowla. Chcąc zatem z niej korzystać,

po spoczynku przez 24 godzin i rozgłoszeniu, że składamy awangardę tylko powstania, przeszliśmy na lewy brzeg Horynia; przez Bereźnicę, Włodzimierzec byliśmy w Rafałowie, gdzie z rozbitego powstania Olizara przybyło nam kilku konnych i 80 pieszych ludzi; ostatni zaraz byli uzbrojeni. Tam przeprawiliśmy się na lewy brzeg Styru, zanosząc wiadomość, że zamierzamy zdobywać Kowel. Niewolników kazałem Styrem spławić do Pińska, żeby umniejszyć sobie ciężaru, a zarazem oddalić w stronę przeciwną, gdzieby ich zeznanie o siłach naszych nie było nam szkodliwe.

Jeden zasiedatel, szpieg z pod Lityna prowadzony, z ogoloną głową powrócił do domu; drugi, ujęty na rabunku domu obywatelskiego z swoim pisarzem, po odbytych sądzie, zostali na gałęzi.

Koło Hulewicz dowiedziałem się, że siła zbrojna Kowelska zdjęła mosty, barykaduje ulice i osadza wyższe miejsca za miastem działami. Takie przygotowania dwóch tysięcy blisko nieprzyjaciół zapewniały mnie, że się oszukują mniemaniem

o naszej sile, a z tego wnosiłem razem, że wezwą na pomoc wojska nad Bugiem stojące i odsłonią mi granicę. Wolnym marszem przebywaliśmy przestrzeń ku Kowlowi, żeby mu dać czas skomunikowania się i wciągnięcia w ruch wojska. Turje między Kowlem a Niesuchojeżami przebyliśmy; w ostatniem miasteczku zabrać kazałem pocztę; kuryer z depeszami Dybicza dostał się w ręce naszej awangardy. Za Turją zaczęliśmy robić półkole koło Kowla, utrzymując ciągle Moskala w uprzedzeniu, że mamy zamiar uderzyć na niego. Odebrawszy zaś wiadomość, że wojska z nad granicy ruszyły już i są w marszu, zmieniłem przykro na prawo naszą dyrekcyę; rozminęliśmy się z jedną kolumną, o kilkaset sążni pod Maciejowem, przeszliśmy koło niej bez drogi ze spuszczonemi na dół chorągiewkami. Przechodziliśmy pod Luboml, mając go na lewo¹⁾, skąd kilku godzinami wprzód wy-

¹⁾ (Z opowiadania K. Różyckiego) „Chciałem ominąć Luboml; byłem pewny, że tam stał kilkotysięczny

ciągnął nieprzyjaciela, na wezwanie pomocy. W Lubomlu były bagaże wojenne, ale nie mieliśmy czasu do stracenia, zmieniliśmy jeszcze raz kierunek na lewo za Lubomlem, ominęli Moskali, ciągnących z Opalina, i szwadrony huzarów, rozstawione między Jeziorami Szackimi, a szybkim marszem o ćwierć mili niżej Dorohuska nad Bugiem, we wsi Przewozach, stanęliśmy.

Zastaliśmy tam galary; szwadrony stały nad brzegiem, piechota ustawiona była w ulicy, a wedety zajęły odległe dość wzgórki, żeby wcześniej mogły ostrzedz nas

garnizon, opatrzony działami. Wziąłem przewodnika i naznaczywszy mu punkt, gdzie nas miał doprowadzić, udałem się na całą noc szybkim marszem. Lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy nad samem ranem znajduję się pod miasteczkiem, które chciałem wyminąć! Przypuszczałem zdradę ze strony przewodnika i miałem dać rozkaz ukarania go śmiercią, kiedy w jego płaczu, zaklinaniu się, poczułem taki akcent prawdy, iż przekonałem się, że był niewinny i że zmylił się tylko. Zobaczywszy kilku żołnierzy moskiewskich koszących trawę, kazałem ich pojmać, i dowiedziałem się, że w Lubomlu nie było nikogo,

o nieprzyjacielu, który mógł się zwrócić z drogi ku Kowlowi; ale my, przez całą noc forsowny robiwszy marsz, i do pierwszej po południu w przeciwną z nim idącą stronę, oddaliliśmy się od siebie wzajemnie. Spokojnie zatem pierwszy szwadron przeszedł Bug wpraw, a tymczasem ustawiono galary w poprzek rzeki i drugie dwa szwadrony, wozy z bronią, rannymi, kasą i piechota przez nie przeszły.

Nowa radość zabłysła na waszych czołach, dłonie na nowo ścisnęły się wzajemnie, a okrzyki wesołe rozlegały się po równinach lewego brzegu Bugu. Mnież

że poprzedniego dnia cały garnizon szybko wyruszył, aby na mnie tam właśnie czekać, którądy miałem przechodzić. Tak omyłce pocziwego przewodnika winienem ocalenie oddziału. Nie była to widoczna nad nami Boża opieka! Przymaszerowałem przez Luboml, nie mając czasu ani niszczyć, ani zabierać wielkich magazynów moskiewskich. Ten marsz mój, ze zrządzenia Bożego i bez woli mojej uczyniony, wzbudził największą admiracyę samego nieprzyjaciela, jako arcydzieło strategii. Uważano mnie za wodza najdokładniej zawiadomionego o każdym ruchu przeciwnika...”

tylko nieczuć trzeba było tej chwili? Jak kropla rosy nie odwilży wnętrza głazu mchem nasepionego, tak radość ożywić nie mogła uczuć moich; czytałem depesze Dybicza, o których wy nie wiedzieliście; nic on nie miał korzystnego w nich dla siebie, ale dość było przykrem, dość zasmucającem dowiedzieć się, że główna kwatera tego generała była dotąd w okolicy Pułtuska.

Galary kazałem rozprządz, z wodą puścić, albo poniszczyć. Rozesłałem w okolice Krasnostawu, Zamościa i Hrubieszowa, dla zapewnienia się o położeniu i sile nieprzyjaciół, a dochodząc wysokości Chełma, w Woli Czerniejowskiej stanęliśmy na noc, skąd także wysłałem kilku ludzi pod różnymi pozorami, dla przejrzenia potrzebniejszych punktów od strony Zamościa; po ośmnastogodzinnym wypoczynku byliśmy w marszu. Zostałem uwiadomiony, że naszą drogą, przez Bug, przeszedł mały oddział huzaarów; kazałem go śledzić, i doniesiono mi, że zdaleka nas krążył i mijał Chełm; wno-

siłem więc z pewnością, że o naszym przejściu donosi generałowi Rydigierowi. Odebrałem także wiadomość dokładną, że Krasnyczyn, Wojsławice, Uchanie i Jarosławice zajęte przez korpus tegoż generała; przez Hrubieszów zatem zostawała tylko droga do Zamościa, ale dalsza i łatwo być mogła przecięta od Jarosławic, albo też od Włodzimierza, przez korpus Kajzarowa. Uchanie, punkt prawie pośredni na linii naszego dążenia, zajęte były przez samą kawaleryę, a chociaż punkt ten w pół godziny mógł być z Wojsławic posiłkowany, obrałem go jednak do naszego przejścia, gdyż nie miał tyle wawozów i nizin, ile Hrubieszów; droga była bliższa, a nadzieja złamania nieprzyjaciół pod boki naszych braci zachęcająca. Przewodnicy mieli rozkaz prowadzić nas na Hrubieszów, w samym zaś marszu zwróciliśmy na Uchanie. O dwie mile od Uchań uprzedziłem was o moim zamiarze, odebraliście potrzebne informacje; ponieważ zaś w nocy mieliśmy napaść na obóz, poczem śpiesznie trzeba się było

sformować, żeby nowych sił uniknąć, a trębaczów nie było, mieliście więc rozkaz, żeby po napadzie moją komendę „Stój!” każdy komendant szwadronu i plutonu i każdy podoficer powtórzył, po której jeżdźce zbierać się mieli w plutony, i śpiesznie stawać we front szwadronowy. Droga od Chełma ku Uchaniom, na którąśmy weszli byli, ciągnie się lasem, a ten o kilkaset sążni od miasta kończy się; obóz nieprzyjacielski stał na wzgórzu, przy drodze z Uchań do Wojsławic prowadzącej, przewodnicy nasi położenia obozu dobrze nie znali, żeby w ciemną noc naprowadzić nas na niego mogli z pewnością, ogni zaś nie palono. Dowiedziałem się, że na brzegu lasu przy naszej drodze mieszkał gajowy; tego zatem, jako sąsiada obozu, na przewodnika postanowiłem zabrać, żeby nam go wskazał; jakoż był wzięty. O kilkanaście sążni od mieszkania gajowego stała wedeta nieprzyjacielska; za zbliżeniem się naszym uszła ona bez strzału do placówki, którą dostrzegłem, idąc na czele. Mielście rozkaz, do wedet i placówek nie strzelać,

żeby przez to nie ostrzedz nieprzyjaciela. Placówka ta była złożona z czterech tylko koni; dwóch naszych braci za pomocą języka rosyjskiego zbliżyło się ku niej i bez strzału także z jej strony, razem z nią zniknęli w ciemności nocnej. Żeby więc nie spóźnić się po zaalarmowaniu obozu, którego spodziewałem się, kazałem wam iść kłusem, a przebywszy most wązki na błotach, uformowaliście front śpiesznie i jak można najciszej.

Ranni nasi, kasa, broń i konie podwodowe zostały przy drodze, pod zasłoną piechoty i szwadronu asekuracyjnego, dwoma zaś szwadronami poszliśmy wpaść na obóz, ale go szukać jeszcze trzeba było, gdyż wiecie, że gajowego podoficer Wielobyski przez nieostrożność upuścił. Nie zachęciło go dwieście złotych, które mu za tę przysługę ofiarowałem; nikczemnie z przestrachu uciekł gajowy, szliśmy więc śpiesznie, choć nie na pewno, ale strzałów jeszcze nie było słychać. Stanąć zatem kazałem, a ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, szczęściem znalazłem obóz i w tym mo-

mencie wpadało do niego dwóch konnych z placówki, która, uciekając przed naszymi, zbłądziła. Jeden z nich natracił się na mnie i był cicho zsadzony z konia, a drugi zwrócił się w tył i równie przyjęty został przez naszego jeźdźcę, goniącego za nimi od lasu. Powróciłem do was i przepowiedziałem, czem być mieliście później, komenderując donośnie, ażeby zwieść nieprzyjaciela: „Pułk naprzód, dyrekcyja na prawo, galopem!“, a hasło nasze „Sława Bogu!“ trwało bez przerwy i budziło śpiących wrogów, ale budziło nie na długo, bo nowym snem usypiali; konie ich rozpierchły się, nie unosząc żadnego jeźdźcę, wielu na pieszo broniło się strzałami, bo nas nie wystarczało, żeby każdy z nich miał przeciwnika, ale żadnego kolej nie minęła, a strzały, choć gęste, lecz z przeżeniem i w nocy niesione, nie zrobiły nam szkody. Pułkownika, komendanta tego obozu, w jego namiocie aresztowanego, kazałem pilnować; chciał on się ucieczką oswobodzić, i sobie winę przypisze, że strzałem w nogę i lancą w bok zatrzy-

many został; kilku oficerów przyprowadzono także do tego namiotu, ale jeden z tych nikczemnie strzelił do naszego kolegi Czajkowskiego, który mu życie zostawił, i stał się przyczyną, że wszyscy skończyli na grotach, jak wielu innych, nim w to miejsce nadbiegłem. Przebiegając obóz wzdłuż, widziałem, że za kilka minut skończy się skutecznie nasz napad, i kiedy na ustroniu upatrywałem miejsce do zebrania frontu i między potrzebą wydania do tego stosownej komendy a chęcią nieopuszczenia choć jednej jeszcze korzystnej chwili wahałem się, dał mi się słyszeć szcęk broni od strony Uchań; natychmiast więc posłałem po szwadron asekuracyjny, dwóm pierwszym kazałem się formować, a z sobą wzięwszy ośmiu jeźdźców i starszego Ostaszewskiego, udałem się dla rozpoznania nowo przybywającej siły. Mały mój oddział frontem wchodził w ulicę ogrodzoną i prawie ją całą zajął; przypuszczałem ciągnącą się kolumnę ku sobie i usłyszałem komendę w ruskim języku: „Pułk 4 ural-ski naprzód!“ Pod zasłoną nocy i w ści-

słem miejscu dość jest czoło kolumny konnej, choćby najgłębszej, złamać, a zwrócone dwie lub trzy szóstki wstecz potrącają następne i zostawiają za sobą korzyść najslabszemu nawet przeciwnikowi; mając więc przed sobą o piętnaście kroków czoło kolumny kozaków, ośmią grotami i dwoma pałaszami uderzyłem, a pułk siłą własną i siłą przestachu wtłoczył się na powrót w miasto i z korzyścią naszego oddziału był ścigany. Ale mnie trzeba było powrócić i zasłonić trzecim szwadronem dwa pierwsze, żeby się co prędzej uformowały; zatrzymałem zatem mój mały oddział, poleciłem Ostaszewskiemu obserwować i uwiadamić mnie śpiesznie, gdyby powracali kozacy, bo chciałem ich z ulicy nie wypuścić na pole.

Szwadronu asekuracyjnego nie było jeszcze; patrol kawaleryi, idący z Wojśławic i uciekający od zniszczonego obozu, wlaźł na niego; Przyborowski więc, komendant tego szwadronu, był czynny. Pamiętacie, jak pułk kozacki powrócił i na nowo zatrzymany w ulicy, był party przez całe

miasto ze stratą, w której rachował pułkownika dowódcę, poległego na ulicy od lancy jeźdźca Alfreda z Czartoryi, i jednego kapitana. Szybkie uformowanie szwadronów przez walecznych zawsze komendantów, Dunina i Grudzińskiego, do odparcia tej nowej siły przyczyniło się znacznie.

Opuszczaliśmy pobojowisko; pułkownik i stu trzynastu strzelców konnych Siwierskich byli naszymi jeńcami. Z tych, kilkunastu z ran umarło, albo dla słabości zostawiono w wioskach. Pułkownik Bogdanow, nasz jeńiec, miał przy sobie ekspedycję swego generała korpusu, w której cytowane było wezwanie Lewaszowa, gubernatora Wołyńskiego, żeby nas starać się koniecznie zbić, albo ujętych i okutych pod ścisłą strażą do Żytomierza dostawić. Tłumaczyłem mu, że twierdza nasza położona od jego obozu o trzy tylko mile, że nam do Żytomierza wracać daleko i że gościnniejsze znajdzie przyjęcie od przygotowanego dla nas w Żytomierzu; jakoż pułkownik ten i ośmdziesięciu przeszło żołnierzy oddani zostali w twierdzy.

Konie, kilkaset karabinów, pałasze i pistolety były naszą zdobyczą. Baraki, pełne zrabowanych rzeczy i trunków, kazałem zapalić, żeby spłonęły z bronią i rynsztunkami, których niepodobna było zabrać bez obciążenia siebie. Czternastu jeźdźców naszych ubranych było w ładownice oficerskie. Dzień się zaczynał; kozacy na wzgórzach za miastem stojąc, rozpoznawali nasze siły; piechota nasza, mając polecenie zając ulicę główną i osadzić punkt, w którym przez nią w poprzek przechodzić mieliśmy, przyjęła ogniem nadchodzący patrol huzarski, odparła go, a przepuściwszy kolumnę naszej jazdy, sama przeprowadzona była przez ogrody w pole, i zasłoniętą została aryergardą kawaleryi.

Z pomiędzy nas dziesięciu było rannych od pałasza, zabity nikt nie był. Dążyliśmy do Grabowca, mając ciągle przed naszą awangardą i za sobą kozaków; chcieli oni opóźnić nasz marsz, gdyż kawaleria z artylerią od Wojsławic śpieszyła przeciw nam drogę. W Grabowcu ustawili się kozacy nad wąwozem, który nam trzeba

było przechodzić; ale wkrótce po słabym odporze odstąpili, uciekli na lewo, przepuścili nas, złączyli się w jedną masę z tymi, co byli za aryergardą, i następowali ją razem. Aryergarda, komenderowana przez Konstantego Bernatowicza, wytrzymywała ogień ciągle z janczarek; Seweryn Pilchowski i Adam Domaradzki, ze zwykłym sobie męstwem, naprzemian wspierali ją swoimi plutonami. Konie nasze od dwudziestu godzin nie jadły i zmęczone były; zebrałem więc pół szwadron na nowo zdobytych koniach o milę po przejściu Grabowca i przepuściwszy kozaków przez Rudę, którąśmy przeszli, kazałem razem z aryergardą natrzeć na nich; poczem uciekli bez powrotu kozacy, a my odpoczywaliśmy i poiliśmy konie. Jana Omiecińskiego z kilku ludźmi wysłałem do gubernatora fortecy Zamościa z raportem o naszym zbliżeniu się; zastał on w tej twierdzy generała Chrzanowskiego z korpusem, który, będąc wprzód przez kogoś źle uwiadomiony o naszym położeniu, śpieszył nam na pomoc, zszedł się z nami, jak wiecie, w łańcuchu

wedet, o tysiąc kroków od twierdzy. Szwadrony Krakusów, kolumny piechoty i artylerya witały nas okrzykiem. Ach, jak te życzenia były nam miłe, jak ten język narodowy mówił do nas; a narodowe kolory ciągnęły ku sobie oczy nasze! Powitaliśmy ich wzajemnie trzykrotnem „Sława Bogu!”

Tak skończyliśmy marsz przeszło czterogodniowy, po stu trzydziestu dwóch milach krętej drogi, wśród obozów wojsk naszego ciemiezcy; opieka Boga nas osłaniała. Oprócz zabranych na wozach pod Tyszą w niewolę, jeden także Dominik Strumiłło, ranny pod Grabowcem, został jeńcem, a dwóch tylko mieliśmy zabitych i dwudziestu ośmiu w ogóle rannych było, którzy później wykurowani zostali.

Dżdżysta, zimna wiosna i trudy, przeciążające niewprawne natenczas jeszcze siły wasze, były przyczyną, że prawie połowa ludzi miała spuchnięte nogi, tak, że butów wdziać nie mogli, ale kilkodniowy odpoczynek pod twierdzą i nadzieja, że użytecznymi będziemy, powracała nam zdrowie.

Raport mój posłany był sztafetą do Naczelnego Wodza; czekaliśmy naszego przeznaczenia, żebyśmy wcieleni zostali do któregoś pułku jazdy, ale wkrótce uwiadomiony zostałem, że nam nadano tytuł jazdy wołyńskiej.

Każdy oficer, każdy żołnierz załogi i korpusu Chrzanowskiego cieszył się naszym przybyciem, które, choć niewiele, zwiększało jednak siły narodowe; cieszył się, bo każdego z nich życzenia były przychylne dla Ojczyzny; widzenie się zaś codzienne z generałem nie mogło w nim odkryć tych uczuć, aż nakoniec przekonał on mnie i zasmutił, że ich wcale nie miał. Do skromnego naszego umundurowania, jakie zamierzałem, chciałem mieć dziesięć, a najwięcej dwanaście dni czasu. Przywieźliśmy z sobą pieniądze składowe, i te nam miały wystarczyć, nie biorąc nic ze skarbu narodowego. Przeciąg ten czasu był potrzebny jeszcze dla ugruntowania was w mustrze, dla wypoczynku i wygojenia koni. Szło także o miejsce spokojne, z którego dostaćby można było potrzebnych szczegółów i rze-

mieślników; prosiłem zatem generała o ten czas i o przeznaczenie na lewym brzegu Wisły miasta Zawichostu lub innego, skąd po dwunastu dniach stanąć mieliśmy gdzie tylko rozkaże. Na to odebrałem odpowiedź: „Te wszystkie powstania więcej mi robią niepokoju swojemi żądaniami, jak pożytku; Tomaszów panu przeznaczam, należysz pan do moich rozkazów, tam odpoczniesz i umundurujesz się“. Wiem, że uległość i spełnienie ściśle rozkazów jest pierwszym obowiązkiem żołnierza, jest nawet cnotą od męstwa pierwszą; widziałem niebezpiecznem i niestosownem to przeznaczenie, ale, jeżeli był przyzwoicie uległy przez cały ciąg dawniejszej mojej służby, to w teraźniejszej przejąłem się tem bardziej tą powinnością, bez ogłoszenia więc wam tak nieprzychylnego rozporządzenia, spełniłem je. Pamiętacie, stanęliśmy w Tomaszowie o dwie stacye pocztowe od Zamościa, a o trzy mile od korpusu Kajzarowa, który się w tych dniach przez Bug przeprawił, o pół mili zaś od granicy austriackiej; konie nasze posiadłane zawsze, ludzie ciągle

uzbrojeni, na noc występowaliśmy na plac. Patrole nieustannie zmieniały się, a mundury nasze szyto na wozach, żeby w potrzebie zabrać się ze wszystkim. Czwartego dnia tego odpoczynku i tej spokojnej organizacyi droga, którąśmy przeszli od forticy, przeciętą już była, a więc mieliśmy z dwóch stron nieprzyjaciół, a z trzeciej granicę Austryi; emisaryusze i patrole uwiadomiły mnie, że Moskale się zbliżają, ale nie ruszyliśmy wprzód z Tomaszowa, aż odebrałem odpowiedź na moją sztafetę. Odpowiedź tę dawał mi gubernator twierdzy, gdyż Chrzanowskiego nie było już w Zamościu. Wyszliśmy, pamiętacie, o pierwszej w nocy, a we dwie godziny, w Tomaszowie, trzy tysiące Moskali na naszym miejscu stanęło, z dwóch stron wpadając do miasta; przez J ó z e f ó w zostawała nam droga, którą drugiego dnia stanęliśmy pod twierdzą.

Znał dobrze Chrzanowski zgubne położenie Tomaszowa, i jemu zapewne najlepiej wiadomo, dlaczego nam go przeznaczał. Nie zastałem tego generała w twierdzy;

poszedł na lewy brzeg Wisły z korpusem i stamtąd dopiero dał mi rozkaz, żebym się także przeprowadził; uwiadomił mnie, że do pierwszego należę korpusu, kazał nieodwłocznie szlak bojowy zmienić na dwa szeregi, a Solec miasto do dalszej organizacji przeznaczył.

W Solcu odebrałem z komisji wojny potrzebne druki do organizacji, zaprowadzona była kancelarya i rada gospodarcza, kilkuset krawców i różnych rzemieślników pracowało, wy odbywaliście musztry; listę oficerów do zatwierdzenia przedstawiłem. Chrzanowski bez rozkazu znowu nas porzucił i przeprowadził się na prawy brzeg Wisły, a ja dziesiątego dnia raportem przez sztafetę pytałem się Naczelnego Wodza o przeznaczenie nasze na linii bojowej, donosząc mu: żeśmy gotowi, że broń mamy zdobytą kompletną, ładunki wymienione w twierdzy za proch zdobyty, a lance nowe równie jak i oporządzenie, sprawione z kasy, którąśmy z sobą przywieźli, prosząc go oraz, żeby szlak nasz jednoszeregowy zachować raczył. Umiał Wódz Naczelny

Skrzynecki ocenić nasze szczere chęci, oświadczyć ukontentowanie ze śpiesznej organizacji, a pułk wyszedł na linię bojową.

Jednostajność ubrania i uzbrojenia, stan koni poprawiony, porządek, do któregoście się sami przyczynili, wspólną nam wszystkim robił przyjemność; nie zadziwialiśmy widza prostym ubiorem naszym, ale chimeryczne nawet oko nie mogło się zrażać nieregularnością. Czapka biała z barankiem czarnym, i małym na orle piórkiem, czamarka krótka granatowa z wypustkami białymi i kołnierzem, rajtuzy granatowe wygodne z wypustką i skórą odziewały oficerów i jeźdźców; ich szarfka sukienna, a nas pasy białe z frendzlą srebrną zmieszaną z amarantem, przepasywały; do białych łosiowych pendentów zdobytych wszyscy jeźdźcy na lewej stronie mieli przytwierdzone małe olsterka z kartuzą na ładunki, a w nich nakryte pistolety; pałasz każdego uzbrajał, po czterech skrzydłowych w plutonach miało sztucce albo skrócone karabinki z flintpasami, a lance z cho-

ragiewkami narodowego koloru stanowiły główną broń naszą. Siodła bez olster i jak można najłżejsze, z małym mantelzakiem i płaszczem, nakryte czaprakami granatowymi, z zielonych moskiewskich przefarbowanymi, albo też nowymi tego koloru, rzemienie do nich z surowca i trenzle surowcowe z werblikami. Paradne mundury oficerów z rozprutymi były rękawami; na spodzie kaftan biały atłasowy.

Po ukończeniu umundurowania i osiodłania, zostające karabinki i pistolety zostawione były z oddziałem, przeznaczonym do rezerwy, gdzie razem mieliśmy kilkaset lanc nowych, nasze zaś domowe lance rozdane były pospólstwu w Solcu.

Pieniądze składowe, któreśmy przywieźli z sobą, wyszły zupełnie, resztę potrzeb z małych moich funduszków załatwiałem; a że kasa ta była własnością publiczną i do bezpośredniego mojego rozporządzenia zostawiona, wezwałem więc was, żebyście z niej jak najściślej kasyera pułkowego obrachowali. Załączyłbym szczegółowy wasz rachunek naszej kasy, ale

cnotliwe polskie serca, co ją złożyły, spokojnie zaczekają na czas, w którym winny im hołd publicznie będziemy mogli oświadczyć.

Odtąd przestaliśmy zależeć od siebie, zaczęliśmy wspólnie działać z innymi korpusami, a czyśmy godnie powołaniu naszemu odpowiedzieli, nie do nas należy sądzić. Ja tylko zamilczeć nie mogę szacunku mojego dla was; nabyliście do niego prawa waszem męstwem, staraniem w służbie wewnętrznej, troskliwą opieką nad żołnierzami, godnymi naszej przyjaźni, waszą bezinteresownością; ustępowaliście chętnie dla żołnierzy prawa waszego do krzyżów, byli między wami, co się prosili, ażeby ich zostawić w szeregu jako podoficerów, nie żądali wdziać znaków oficerskich i przy końcu dopiero kampanii przyjęli nominację. Listę oficerów do krzyżów, wskutek powtarzanego rozkazu generała korpusu, przedstawiłem; chowajcie te drogie pamiątki, godnieście je nabyli, nie zniży ich ceny ciemieżca, jak żąda w zemście swojej; ukazem rozdał on polskie krzyże Mo-

skalom, na znak, że nimi pogardza, a biedne narzędzia jego samowładztwa przyjęły je w równej pokorze, jak przyjmują na czoła wypiekane piętna przed Sybirem. Nasze krzyże, nasze stopnie Ojczyzna nasza nam dała.

Winieniem jeszcze wam podziękować za utrzymanie karności w szeregach, za wzory dla żołnierzy odwagi waszej; widziano was w każdej bitwie na przodzie, w sto piętnaście koni łamaliście cały pułk pod lżą; tam w czasie ataku, kiedym wołał „puszczaj cugle!“, żołnierz szwadronu trzeciego dał mi się słyszeć: „ja mojego konia wykielzałem“. Po tej bitwie przyznano nam nasz sztyk jednoszeregowy i pochlebnie powiedziano, żeśmy sobie sami na to prawo napisali, umiając się formować pod kartaczami; wspólnem zaufaniem ożywiliśmy się, nie nadto nawet wymagałem zimnej krwi po was wtenczas, kiedy, umyślnie odwróciwszy front od nieprzyjacielskich dział, zakazałem patrzeć na granaty, rozrywane za ogonami waszych koni; nie nadto mówię, boście to ściśle i z pogodą na czo-

łach wypełnili. Nad Wisłą pierwszy mój szwadron, oddzielnie stojący, wołał na mnie, żebym go prowadził do szarży na szesnaście szwadronów rozwiniętych nieprzyjaciół i w miejscu krzyczących „hurra!"; — nie śmieli oni na trzysta koni naszych uderzyć, bo każdy z tych pułków w różnych czasach miał z osobna z wami do czynienia. Nie przyznałbym się do nieprzyjęcia walecznego wyzwania mojego szwadronu, ale wierzcie zapewne, że nie osobista bojaźń od tego mnie odstręczyła; chciałem wykonać trzema szwadronami ten atak, któryby się powiódł zapewne, ale te naticzas podzielone były przeszkodami, a w poprzek kartaczowego ognia sprowadzając, mógłbym je zniszczyć.

Nie wystawą ubiorów naszych, ani zwierchnią postacią, którejsmy się zrzekli, przerażać chcieliśmy naszego przeciwnika; patrzył on na ostrza naszych lanc, które nieraz wprzód dały mu się uczuć, nim je zoczył!





